

## *Przygoda myśliwska w zimowej scenerii*

Pewnego poranka Mateusz z synem załadowali na sanie trochę siana i wyruszyli do lasu. Wzięli też strzelbę z zamiarem zapolowania na dzika. Był to okres, kiedy można było polować na koziołka, ale ze względu na ciężki los saren w czasie tej srogiej zimy sumienie nie pozwalało dodatkowo ich niepokoić. Inaczej było z dzikami: latem wyrządzały duże szkody, żerując na łąkach prosa, owsa, kukurydzy czy zagonach kartofli. Były więc plagą gospodarstw położonych w pobliżu lasu. Rosnąca populacja tych zwierząt była niewskazana i odstrzał był pożądanym.

Jechali leśną drogą zasypaną śniegiem. Było, jak tu mówiono, kopno i konie, brnąc w śniegu, wolno ciągnęły sanie. Stasiek doskonale znał ten las, to tu wypasał bydło. Podziwiał teraz jego zimową krasę. Piękny, sosnowy bór, pełen zimowego uroku szeroko rozciągał się wokół nich, tworząc perspektywę niekończącej się głębi smukłych, strzelistych pni, wychodzących z białego kobierca śniegu, szarych u stóp i stopniowo przechodzących w odcień złocisty wysoko w górze, gdzie na tle nieba zieleniły się ich iglaste korony. Wśród tych niebotycznych drzew były też małe, uginające się pod obfitym nawisem śniegu, niektóre całkiem pokryte śnieżną watą tworzyły fantastyczne, bajkowe figury.

Nieskazitelna biel śnieżnego dywanu znaczone była tylko śladami dzikich zwierząt. Żadnych śladów człowieka, żadnych śladów pojazdów... Jechali przez te białe, jakby dziewicze, nietknięte stopą ludzką, ustronie. Dzień był cichy, bezwietrzny. W porównaniu z porą letnią, kiedy las rozbrzmiewał licznymi ptasimi głosami, teraz ogarnięty był głęboką ciszą, jakby uśpiony pod śnieżną pierzyną. Ten wielki, dostojny spokój i cisza, kryształowo czyste powietrze i ośnieżone drzewa, wszystko to poruszyło wrażliwą duszę Staśka, napełniając go zachwytem i podziwem. Czuł się tu jak w jakiejś monumentalnej świątyni, nieskalanej cywilizacją. Widocznie Mateusz też na swój sposób odczuwał to piękno, bo przez pewien czas jechali w milczeniu. Wreszcie pierwszy przemówił ojciec:

- Anu, synu, weźmi tera z dwa oberemki siana i pokładnij uńdzio o, pod tymy sosnamy. I wskazał palcem miejsce, gdzie należy położyć siano. Takie porcje paszy podrzucali sarnom w dalszej swojej drodze. W pewnym momencie spostrzegli krwawą plamę na śniegu i ślady wilczych łap. Tu wilki rozszarpały sarnę. Wstrząśnięty tym widokiem Stasiek myślał: "O ile straszniejsza jest taka dzika śmierć od tej, jaką zadaje myśliwy?"...

W czasie dalszej jazdy gromada saren w fantastycznych długich susach przecięła im drogę i niezbyt daleko się zatrzymała. Spłoszone zwierzęta odwróciły głowy i jakby zdziwione patrzyły na konie i jadące sanie. Były w zasięgu strzału, ale żadnemu nie przyszło na myśl, by do nich strzelać. Mężczyźni patrzyli na nie z ciekawością i starali się ich nie płoszyć.

Powoli zbliżali się do matecznika dzików, które zwykle gnieździły się w bardzo gęstym, trudno dostępnym lesie. W tym wypadku był to młody gaj świerkowy. Korony świerków sięgają ziemi szeroko rozpostartymi, gęstymi gałęziami. Pod nimi nie ma śniegu i jest cieplej. Dzikie upatrzyły sobie to miejsce na legowisko. W dzień ukryte pod świerkami spały i dopiero wieczorem wychodziły na żer.

Mateusz stanął na czatach za zagajnikiem, a Stasiek został przed nim i po pewnym czasie rozpoczął nagonkę. Utrudniała mu to gruba warstwa śniegu, ale jako że był silny, radził sobie nieźle. Dużymi krokami brnął w śniegu i kijem uderzał po gałęziach drzew. Towarzyszyły temu głuche uderzenia kija i pył spadającego z gałęzi śniegu. To wystarczyło, aby wypłoszyć te czujne zwierzęta. Nie było obawy, że dzik mógł zaatakować. Dzikie nie są agresywne do człowieka i tylko kiedy nie mogą uciekać, się bronią. Maciory, gdy mają prosięta, mogą atakować w ich obronie. No ale w zimie macior z prosiętami nie było, więc Stasiek nie miał żadnej obawy. Z trudem, ale skutecznie pokonywał przestrzeń, waląc kijem

na prawo i lewo. Wreszcie usłyszał strzał. Teraz już prosto szedł w jego kierunku. Dalsze płoszenie zwierząt było zbyt skuteczne, gdyż strzał wypłoszył je wszystkie z całego zagajnika. Mateusz czekał na syna. Około pięćdziesięciu metrów od niego w śniegu leżał dzik. Celnie trafiony zdołał jeszcze ująć kawałek, ale krwawił obficie i wyczerpany padł w puszystą pierzynę. Myśliwi uważnie szli jego śladem. Duże plamy krwi mogły świadczyć, że zwierzę już nie żyje. Bywa jednak, że osłabiony dzik padał, ale miał jeszcze na tyle siły, ażeby w swojej obronie zaatakować człowieka. Tym razem zwierzę leżało bez ruchu. Mateusz trącił go lufą. Dzik nie reagował. Schylił się i pomacał jego bok.

— Niczego sobie warchlaczek, będzie chyba dwa z połowo puda. Idzi, Staśku, po koni. Dzik był młody, toteż bez dużego wysiłku wrzucili go na sanie. Z myśliwską zdobyczą zadowoleni wracali do domu.